ŁÓDŹ

19 - 22 lipca 1972

ZLOT MŁODYCH PRZODOWNIKÓW PRACY I NAUKI

ZMS ZMW ZHP ZSP KMW

Dostojni goście w czasie zwiedzania miasteczka zlotowego. Piotra Jaroszewicza, Edwarda Gierka i Henryka Jabłońskiego oprowadzają dziewczęta na bosaka, jako że ulewny deszcz zamienił ulice miasteczka namiotowego w grząskie bajorka. Gościom towarzyszy Komendant Zlotu, Stanisław Bohdanowicz, Naczelnik ZHP.

Foto: Kajetan Adamowski

ZLOT MŁODOŚCI

Przez cztery dni ulice Łodzi — miasta Zlotu młodzieży polskiej — rozbrzmiewały gwarem i śpiewem pięciu i pół tysiąca dziewcząt i chłopców, przodowników pracy i nauki. Uczestnicy Zlotu zamanifestowali swoje poparcie dla ambitnego programu rozwoju Polski — nowoczesnej, zasobnej, szczęśliwej. Łódzkie spotkanie odbywało się bowiem pod hasłem: MŁODOŚĆ, ZAPAŁ, CZYN, TOBIE LUDOWA OJCZYZNO.

Kulminacyjnym momentem Zlotu było spotkanie z przedstawicielami najwyższych władz naszego kraju.

Sobota, 22 lipca. Zbliża się godzina dziesiąta. Łódzka hala sportowa wypełniona po brzegi delegatami. Mimo potwornego upału, nastrój jest niezwykle ożywiony. Co chwila trybuny skandują improwizowane na poczekaniu hasła.

Punktualnie o dziesiątej na płytę hali wchodzą dostojni goście, członkowie Biura Politycznego KC PZPR z I sekretarzem, tow. Edwardem Gierkiem, członkowie Rady Państwa z jej przewodniczącym Henrykiem Jabłońskim, członkowie rządu z premierem Piotrem Jaroszewiczem. Razem z nimi wchodzą gospodarze miasta i Ziemi Łódzkiej, członkowie kierownictw polskich organizacji młodzieżowych, weterani ruchu robotniczego. Wśród zaproszonych osobistości są również goście z zagranicy — przedstawicie-

C. d. na str. 2

„Lodowik" płynie NA Atlantyk

MASZYNY już pracują, ale statek tkwi jeszcze nieruchomo przy nabrzeżu. Ostatnia godzina przed wyjściem w morze! Niedostrzegalny zapach farby i lakierów unosi się nad rozgrzanym od słońca pokładem. Na Wałach Chrobrego stoją rodziny, żegnając rybaków. „Pierwszy po Bogu" — kapitan — nie ma chwili czasu, honory gospodarza pełni zatem inż. Maciej Sołtysiński, technolog, specjalista od ryb.

— Będzie to najdłuższy rejs „Lodowika" — mówi — dziesięć miesięcy na łowiskach atlantyckich. Jak dobrze pójdzie, za dwanaście dni zarzucimy sieci w okolicach Nowego Jorku, Bostonu lub Przylądka Hatteras. Za pasem wód terytorialnych USA i Kanady, na łowiskach George Banc, spotyka się flotylla rybacka z wielu krajów. Polskich statków bywa niekiedy około setki, bo nie tylko szczecińskie Przedsiębiorstwo Połowów Dalekomorskich „Gryf", ale i świnoujska „Odra" tam łowi. Są także Rosjanie, Niemcy, Bułgarzy, Rumuni. W czasie średniego rejsu

C. d. na str. 5

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 60 (2156) 28 lipca 1972 r. Cena 50 gr

DZIŚ NA STRONIE 3

KOLEJNE LISTY BIAŁOSTOCKICH KORESPONDENTÓW TERENOWYCH.

Z BIAŁOSTOCKIE LETNIA 72 WICIE

Czekamy na Wasze dalsze doniesienia w sprawach związanych z Białostocczyzną.

Nasz konkurs na najlepsze korespondencje — trwa!

Ponad 350 Indian z czterech stanów USA i trzech prowincji Kanady wzięło udział w III międzynarodowym festiwalu tańców wojennych, urządzonym jak co roku w Capilio w indiańskim rezerwacie koło Vancouver.

Foto: CAF

Dziś na str. 7—8 jak zwykle kolejny odcinek „MAŁEJ KSIĘGI INDIAN".

C.d. ze str. 1

ZLOT MŁODOŚCI

le ambasad i organizacji młodzieżowych krajów socjalistycznych.

Przy dźwiękach hejnału zlotowego wkraczają na salę poczty sztandarowe wszystkich organizacji młodzieżowych, wśród nich sztandar PPR przekazany młodzieży na ubiegłorocznym Zlocie w Katowicach przez weteranów ruchu robotniczego ze Śląska i Zagłębia.

W imieniu delegatów gości wita komendant Zlotu Stanisław Bohdanowicz, Naczelnik ZHP. Następnie na ręce I sekretarza, tow. Edwarda Gierka, w imieniu całej młodzieży zlotowej meldunek składa Zofia Mielczarska z Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego w Łodzi. A teraz przedstawiciele poszczególnych delegacji wojewódzkich w strojach symbolizujących różne zawody wręczają I sekretarzowi meldunki z wykonanych czynów i zobowiązań. Rzeczywiście młodzi mają się czym pochwalić. Wartość wykonanych zobowiązań wyraża się setkami milionów złotych.

Za chwilę moment najbardziej oczekiwany — przemówienie tow. Gierka. W swoim wystąpieniu I sekretarz mówił, jak bardzo cały kraj liczy na młodzież, na młodzieżowy zapał, rzetelność w pracy i nauce. Mówił o wielkich zadaniach czekających wszystkich w budowie Polski nowoczesnej, zasobnej i szczęśliwej. Na zakończenie swego przemówienia tow. Edward Gierek powiedział:

„...Historia naszej socjalistycznej ojczyzny, naszego socjalistycznego państwa, powstaje nieustannie z pragnień, dążeń i wysiłku milionów Polaków. Rodzi się w kopalniach i hutach, w stoczniach i przędzalniach, w zakładach nukowych i szkołach, powstaje wszędzie, gdzie trwa praca polskich rąk i polskich umysłów. Już dziś uczestniczycie w tworzeniu historii narodu. Jutro na was spocznie główna za nią odpowiedzialność.

W imieniu naczelnych władz partyjnych i państwowych życzę wam — młodzi przyjaciele — spełnienia waszych najlepszych pragnień i dążeń. Życzę wam satysfakcji i poczucia dobrze spełnionego obowiązku w nauce i w pracy dla Polski!"

Na widowni gasną światła. Rozpoczyna się część widowiskowo-historyczna w wykonaniu kilkuset dziewcząt i chłopców. W artystycznej, pomysłowej formie przedstawiają dzieje młodych Polaków — od pierwszych lat naszego stulecia do dni bieżących. Oglądamy żywe obrazy z okresu odbudowy — młodzieżowy zaciąg pionierski na Ziemie Północne i Zachodnie, akcje żniwne, odbudowę Warszawy, wznoszenie Nowej Huty...

Na zakończenie spotkania odbywa się podniosły moment ślubowania, które w imieniu zlotowców odczytuje Piotr Witkowski, zastępca komendanta szczepu drużyn harcerskich im. Leonida Teligi przy szkole nr 6 w Łodzi:

„...Swój zapał i wysiłek, swoje marzenia, swoją młodość, swoje życie oddamy Tobie Polsko. Zapewniamy Ci pokój, zbudujemy socjalizm — Ślubujemy Tobie, Ludowa Ojczyzno."

PIKNIK

21 lipca po południu spaceruję ulicami miasteczka. Wiem, że właśnie teraz odbywają się spotkania delegacji zagranicznych z uczestnikami Zlotu.

I oto nagle dostrzegam autentyczny... piknik. Biały obrus rozłożony na trawie, pośrodku stoi ogromny w granatowe kwiaty wazon z włocławskiego fajansu, rozstawiono butelki z Pepsi-Colą, leżą słodycze, słone paluszki, wokół siedzą zasłuchane dziewczęta i chłopcy. Przysiadam dyskretnie. Słucham...

— To, co teraz mam przed sobą, to salatera z Włocławskich Azotów, jednych z największych w Europie. Przekazuję ją w Wasze ręce po to, aby pomagała lepiej rosnąć pomidorom, które nam przysyłacie, gdy nasze jeszcze nie dojrzały. Mamy także u siebie Inowrocławską Kopalnię Soli. Daje ona naszemu krajowi najwięcej soli, choć i u nas nie wszyscy o tym wiedzą, bo z solą zawsze kojarzy się Wieliczka. A że Polacy swoich gości zawsze goszczą solą i chlebem, więc dowiedzcie się również, że nasza Ziemia Kujawska to ziemia bogata i żyzna... Zapraszamy — przyjedźcie do nas w dzień powszedni, na składanym rowerze z Bydgoszczy, do plecaka włóżcie toruński piernik...

Sądzę, że tej gawędy przewodniczącego ZW ZMS z Bydgoszczy, Andrzeja Gordona, goście bułgarscy jeszcze długo mogliby słuchać. Ale ktoś chwycił harmonię i zaczęły się śpiewy i tańce. Bo czym innym może się skończyć prawdziwy piknik?

NAJMILSZA DZIEWCZYNA

— Halo, nadajemy specjalny komunikat — nad całym miasteczkiem zlotowym słychać donośny głos spikera. W tej chwili specjalnym samolotem przelatuje nad nami najmilsza dziewczyna Zlotu! Spod nieba przesyła wszystkim ucałowania i podziękowania!

Ten lot, to nagroda przyznana najmilszej uczestniczce Zlotu, Lidii Dalewskiej, 18-letniej uczennicy IV klasy LO nr XXI w Zielonej Górze. Lidia otrzymała także nagrodę z „Opinii". Naszym zdaniem, tak naprawdę, to wybór najmilszej dziewczyny należał zapewne do najtrudniejszych. Bo przecież wszystkie były przemiłe i przeurocze!

ZLOTOWA POCZTA

Podczas pierwszych godzin trwania Zlotu poczta ta pobiła zapewne wszelkie rekordy. Młodzież wysłała do swoich rodzin i znajomych aż 5.000 kolorowych pocztówek z widokami Łodzi! Już 20 lipca pracownicy zlotowej poczty sprzedali 14.000 znaczków pocztowych.

Drugą pocztą działającą na Zlocie była Harcerska Poczta Polowa z Komendy Chorągwi ZHP w Opolu. Specjalnie na Zlot harcerze wydali 6.000 kopert z okolicznościowym stemplem. Cały ten nakład został migiem wykupiony już 20 lipca. Dochód ze sprzedaży kopert w całości przeznaczają druhowie na budowę Centrum Zdrowia Dziecka.

Tekst: B. SKÓRSKA
i ST. BOROWIECKI
Foto: K. Adamowski

Ballada o nich i o nas

Pierwszymi żołnierzami PPR byli młodzi gwardziści z Gwardii Ludowej. Partyzancki oddział pod dowództwem Franciszka Zubrzyckiego — „Małego Franka", przed 35 laty właśnie tutaj, w Polichnie, gdzie obecnie wznosi się wspaniały pomnik wyobrażający wielki stylizowany miecz, stoczył swoją pierwszą walkę.

21 lipca o tych historycznych wydarzeniach mówili w prostych, zwyczajnych słowach komendant Zlotu — „Łódź 72" Naczelnik ZHP Stanisław Bohdanowicz, I sekretarz KW PZPR w Łodzi J. Muszyński oraz sekretarz ŚFMD Dlingea.

Słowa te znalazły swój wyraz w wspaniałym widowisku, rozegranym na tle naturalnej scenerii. Oto las, oto wyłaniają się z niego partyzanci, wjeżdża wóz zaprzężony w konia, wbiegają żołnierze, wjeżdżają ciężkie bojowe samochody, nadlatuje samolot i zrzuca spadochroniarza. Widowisko przeplatane pięknymi piosenkami i wierszami zakończyły ludowe tańce.

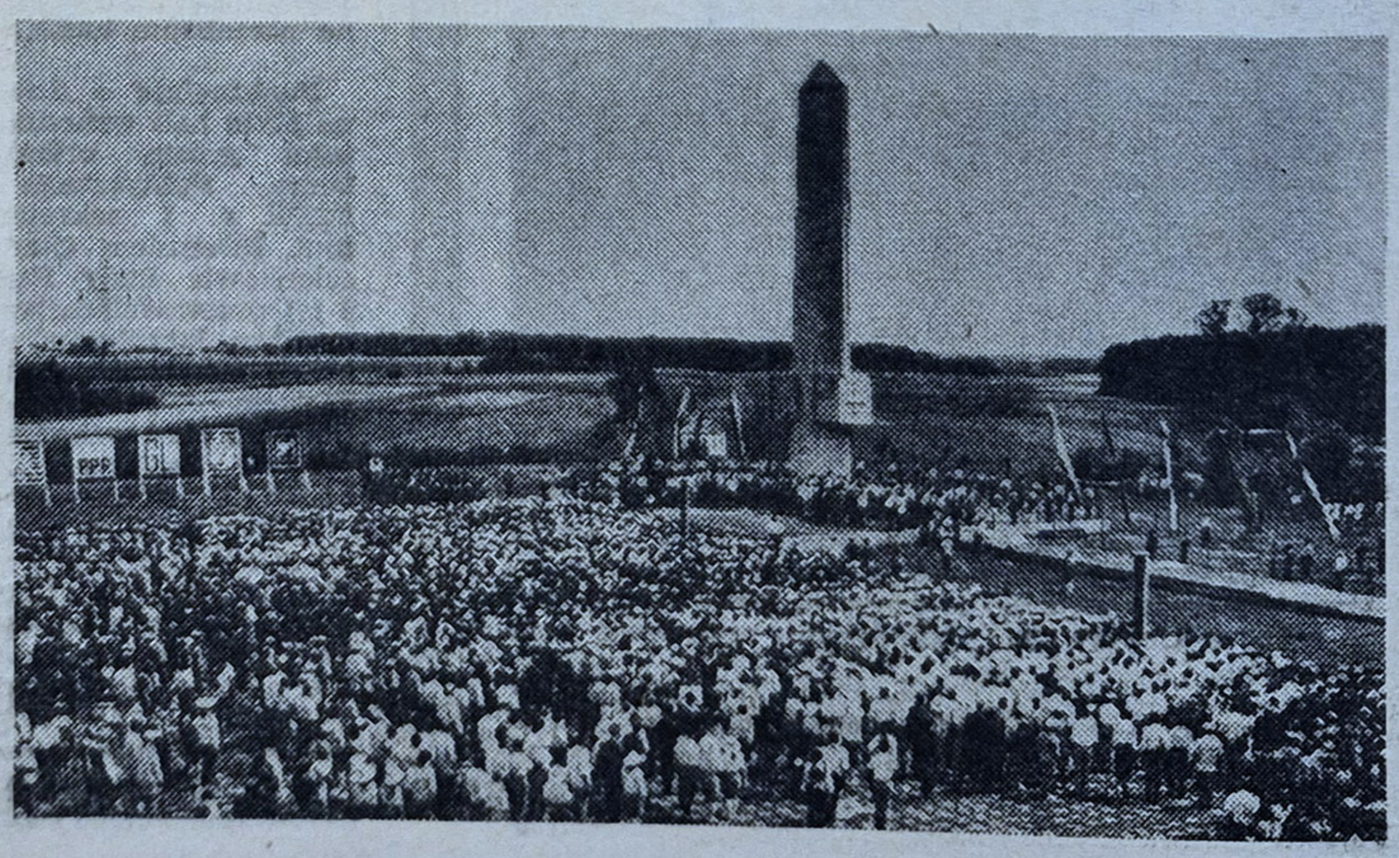

LIGA BIAŁOSTOCKICH KORESPONDENTÓW TERENOWYCH DONOSI

Skansen kurpiowski

Proponuję wyprawę statkiem po Narwi. Kiedy odbija się od przystani w dali ukazuje się miasteczko. Na brzegu rzeki rozciąga się widok na skansen kurpiowski. Radzę zwiedzić ten uroczy zakątek ziemi. W skansenie są piękne, stare domy, dawne narzędzia pracy, stroje ludowe i zaciszna altana. Wszystko to świadczy o wielkiej kulturze Kurpiów. Skansen jest odwiedzany przez rodzimych turystów, nie brak jednak i zagranicznych gości. Założycielem jego był Adam Chętnik, autor wielu interesujących książek o dawnym życiu Kurpiów. Piękny jest ten zakątek mojej rodzinnej ziemi, ładne jest też miasteczko — Nowogród, warto je zwiedzić i odetchnąć czystym jak kryształ powietrzem.

Jola Ludwiczak
Nowogród, pow. Łomża

Ludowi rzeźbiarze

Mieszkam na wsi i z zadowoleniem stwierdzam, że mimo XX wieku nadal żywe są stare ludowe tradycje. Wielu mężczyzn trudni się rzeźbiarstwem. Jednym ze słynniejszych rzeźbiarzy ludowych na tym terenie był mój dziadek — Konstantyn Chojnowski. Jego synowie odziedziczyli po ojcu zręczność, zmysł artystyczny i również trudnią się rzeźbiarstwem.

Kurpie zachowali swoją gwarę i zwyczaje, ich dumą jest niezwykła umiejętność robienia wycinanek z motywem kogutka. Dla mnie arcyciekawe jest wesele kurpiowskie. Wesele jest kolorowe, radosne z dowcipnymi przyśpiewkami. Do najciekawszych wiosek należy wieś Kadzidło, w niej właśnie najwięcej zachowało się przypowieści i obrządków ludowych.

Daniela Chojnowska
Jankowo-Nowogród

Legenda o Górze Gołdapskiej

W przeszłości wśród ludu mazurskiego krążyła legenda, że dawno temu na szczycie Góry Gołdapskiej stał zamek warowny, którego właścicielem był rycerz-rozbójnik, okrutny drapieżca, postrach okolicznych wiosek. Niepokoił mieszkańców dopuszczając się grabieży i morderstw. Podczas takich wypraw jego rozbójnicy wznosili bojowy okrzyk — „Goldap"! — co oznaczało „oddawaj złoto". I prawdopodobnie od tego okrzyku ludność dała przepływającej przez puszczę rzece nazwę: Gołdap, nad którą później rozłożyła się osada. W 1570 r. uzyskała ona prawa miejskie.

Ale wracajmy do legendy. Podczas wypraw rycerz-rozbójnik zgromadził w swojej warowni ogromne skarby. Jego córka błagała ojca, by zaprzestał haniebnego rzemiosła. Nie usłuchał. Aż wreszcie przebrała się miara, pewnej nocy poruszyła się ziemia i z wielkim hukiem zamek się zapadł. Zginęli wszyscy mieszkańcy, ocalała jedynie córka Jadwiga. Żyje pod ziemią wśród ogromnych skarbów. Oczekuje stale na rycerza, który by ją wyzwolił z czeluści Góry Gołdapskiej. Raz na sto lat, między godziną dwunasta a pierwszym pianiem koguta, otwierają się czeluści góry i widać piękny zamek, a w nim uwięzioną dziewczynę. Tyle mówi legenda.

Alina Kalinowska
Żytkiejny, pow. Gołdap

Kolorowe odpusty

Odpusty w Zabłudowie mają odświętny charakter. W dniu 29 czerwca ludzie z okolicznych wsi tłumnie udają się do miasteczka. Starsi podążają do kościoła, następnie spotykają się ze znajomymi i krewnymi. Rozmawiają o swoich gospodarstwach i rodzinach. Młodzież oblega stragany z wyrobami cukierniczymi i zabawkami. Nastrój jest świąteczny, pełno gwaru i śmiechu. Rodzice mają w takim dniu najwięcej kłopotów z dziećmi. Dziewczynki z płaczem błagają o kupno pierścionka z kolorowym oczkiem. Dorośli kupują siwe dzbany, drewniane łyżki, warząchwie, kolorowe chusty na głowę... Po południu tłum rzednie, mężczyźni ubrani w czarne garnitury, wkładają na głowy szerokie, kolorowe, słomiane kapelusze. Dla oznaki pobytu na odpuście kobiety przypinają do bluzek błyszczące broszki. Odświętnie ubrane rodziny lokują się na furmankach i odjeżdżają do domów. Zadowoleni z siebie, że pokazali się znajomym. Za rok znów w czerwcu przyjadą na odpust. Taki jest zwyczaj i każdy dobry gospodarz uważa za punkt honoru wzięcie udziału w tym ludowym, barwnym święcie.

Teresa Szymsiuk
Topolany, pow. Białystok

Oprac. rj.

NAL

LATO LEŚNYCH LUDZI

Zagadka tajemniczego ogrodu

Cerber powitał nas zajadłym szczekaniem. Może to dobrze? Może właśnie tak powinien bronić dostępu do bazy prawdziwy przyjaciel i „członek" zastępu leśnych ludzi? Ale potem już Cerber wyczuł w nas sprzymierzeńców i przyjaźnie merdając ogonem towarzyszył nam przez cały czas pobytu w bazie i w „tajemniczym ogrodzie".

A baza to nad bazami, dzieło Ewy Ciekot, jej koleżanek i dziadka, pana Eugeniusza Gołaszewskiego. Pan Eugeniusz, gdy tylko dowiedział się, że przyjechaliśmy do Ewy, natychmiast zostawił w fotelu namydlonego klienta, odłożył brzytwę i w białym kitlu przybiegł do „tajemniczego ogrodu".

— Ja, również chociaż już niemłody, zaraziłem się letnimi przygodami wnuczki — uśmiecha się pan Eugeniusz. — Ciągle przychodzą do niej dziewczynki, coś tam szepczą, zajmują to komórkę, to magazynek. Pomyślałem sobie, że takie bazy to żadna zabawa. Dziewczynki muszą mieć coś solidnego. I oto dałem im trochę desek, które pozostały mi z remontu zakładu. Dziewczęta zabrały się do zbijania drążków, ciężko im to szło. więc pomogłem.

— Widzi pani — do rozmowy wtrąca się i babcia — tylko rękę wyciągną przez okno i już mają suto zastawiony stół. I to samymi witaminami.

Tak, bo to tajemniczy ogród — myślę patrząc na ogromne krzewy porzeczek, wśród których skryła się baza.

Ewa i jej zastęp w Sobienich Jeziorach działają już od początku wakacji. Ona, jej koleżanka, Ela Urbańska i wszystkie dziewczynki z zastępu przeżyły już nie jedną przygodę w „tajemniczym ogrodzie" — jak same nazywają teren wokół bazy. Ale nie tylko zabawami „żyje" zastęp Ewy.

Najważniejszym osiągnięciem dziewcząt jest akcja przeciwpożarowa, którą przeprowadziły w całych Sobienich Jeziorach. Odkryły ponad 30 miejsc bardzo zagrożonych pożarami. Zwróciły na to uwagę właścicielom domów i zameldowały miejscowej straży.

Cerber, dziadkowie i dziewczęta odprowadziły nas do furtki. Z „tajemniczego ogrodu" na dalszą drogę otrzymaliśmy pachnące słońcem i ciepłem porzeczki.

Odwiedziliśmy także zastęp i bazę druhny Heli Szostak w Sobiekursku. Ta baza jest cała z folii i dlatego nazywa się „Deszczowiec". Są w niej ukryte wszystkie skarby zastępu, który, jako, że deszcz nie pada, ciągle przebywa poza „Deszczowcem". A to w lesie na jagodach lub grzybach, a to na boisku szkolnym. I tutaj szczególnie ciepłe słowa kierujemy pod adresem nauczycielki, opiekunki zastępu, pani Magdaleny Kujdy, która w każdej chwili śpieszy leśnych ludziom z pomocą, choć sama niewiele ma wolnego czasu.

Bardzo chcieliśmy odwiedzić jeszcze inne grupy NAL w powiecie otwockim. Niestety, nie starczyło nam czasu. Ale o kilku zastępach opowiedział nam nasz przewodnik, druh Józef Rychalski, który stale „z urzędu" wizytuje zastępy.

Leśni ludzie z Celestynowa pomagają starszym, samotnym osobom. Rozwożą na pole kompoty, przyrządzają śniadania. W lesie znaleźli chorą sarenkę, którą leczą w bazie, karmiąc ją smoczkiem. Sarenka czuje się już na tyle dobrze, że nawet zaprzyjaźniła się z psem zastępu.

Leśni ludzie w Łukuwcu na czas żniw zorganizowali dla małych dzieci zielone przedszkole. Natomiast chłopcy z Człeckówka rozgrywają mecze piłki nożnej na swoim boisku, a także wyjeżdżają na towarzyskie spotkania do okolicznych wsi. Jeden mecz rozegrali z kolegami z Otwocka.

Nasz rajd tropem leśnych ludzi z powiatu otwockiego zakończyliśmy w stanicy NAL-u w otwockim hufcu. Tutaj, na dziesięciodniowych turnusach szkolą się nowi zastępowi. Znów więc powiększy się armia dobrze pracujących grup NAL. Do druhów z hufca mamy tylko jedną uwagę: zastępowi nie otrzymują w porę numerów „Świata Młodych". Mamy nadzieję, że w sierpniu już tak nie będzie.

BARBARA SKÓRSKA
Foto: Maria Dzierzgowska

SPEŁNIAMY ŻYCZENIA CZYTELNIKÓW ● SPEŁNIAMY ŻYCZENIA CZYTELNIKÓW

SEWERYN KRAJEWSKI I „CZERWONE GITARY"

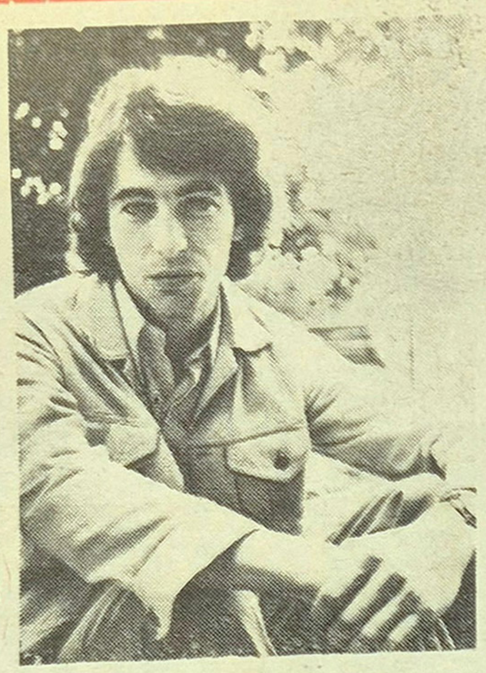

Znany muzyk, wokalista i kompozytor z zespołu „Czerwone Gitary" uśmiecha się dziś ze zdjęcia do wszystkich swoich wielbicielek, których ma ogromną ilość sądząc z listów nadsyłanych do nas z prośbą o zdjęcie tego popularnego piosenkarza. „Czerwone Gitary" w styczniu 1972 roku obchodziły jubileusz siedmiolecia swego istnienia. Ich pierwszy koncert publiczny odbył się 23 stycznia 1965 r. Od tamtej pory zespół przeszedł wiele zmian personalnych, aż do odejścia długoletniego muzyka i wokalisty tego zespołu — Krzysztofa Klenczona.

Seweryn Krajewski pozostał jednak ciągle popularny. Miały na to wpływ (oprócz oczywiście uroku osobistego piosenkarza) jego liczne kompozycje do dziś chętnie słuchane: „No bo ty się boisz myszy", „Takie ładne oczy", jak i te, skomponowane już po odejściu Klenczona: „Bez naszej winy", „Cóż ci mogę więcej dać", czy „Dwie na jednego".

Dodać jeszcze trzeba, że Seweryn Krajewski swą twórczą indywidualnością przyczynił się do otrzymania przez „Czerwone Gitary" pierwszej w kraju „Złotej Płyty" oraz wkrótce jeszcze dwóch następnych.

„Czerwone Gitary" nagrały łącznie 3 long-playe (czwarty w produkcji) 7 czwórek i kilka singli. Zdobyły też wiele nagród na Festiwalach oraz Złoty Mikrofon od przedstawiciela Polonii Amerykańskiej.

Ostatnio po powrocie z ZSRR „Czerwone Gitary" wystąpiły na Festiwalu w Opolu, śpiewając piosenkę „Droga, którą idę". Niestety nie wzbudziły zbytniego entuzjazmu. Czyżby zespół przeżywał regres?

Jak by nie było, Seweryn Krajewski pozostanie nadal jednym z najbardziej popularnych piosenkarzy. (a.w.)

Foto: Kajetan Adamowski

Moje tajemnice

WALDEMAR KOCOŃ

Waldemar Kocoń — popularny piosenkarz jeszcze raz na naszych łamach tym razem na specjalne życzenie Marty i Iwony z Krakowa, Teresy Sujek z Wyszyny oraz Małgorzaty z Krakowa.

Foto: B. Axman

NA WSZYSTKIE LETNIE OKAZJE

— Och, Jolka, jak dobrze, że przyszłaś, ty masz takie dobre pomysły, poradź mi, jak uszyć sukienkę z tego płócienka. Jest tego bardzo niedużo, a chcę, żeby była bardzo wygodna, przewiewna. Wiesz, taka „do teatru i na ślizgawkę". Mama mi ja sama uszyje, jeżeli wymyślę prosty fason. Musi być zapinana od góry do dołu, mocno wycięta, taka prawdziwa plażowa, a jednak żeby była elegancka. No rozumiesz, żeby była i na co dzień na plażę i na tańce, jasne?

— Czy skończyłaś już to zamówienie, czy tylko nabrałaś oddechu? Jeżeli jeszcze ma spełniać funkcję szlafroczka i mieć podpinkę z watoliny na zimę, to zamówienia nie przyjmę!

Kuba

„LODO

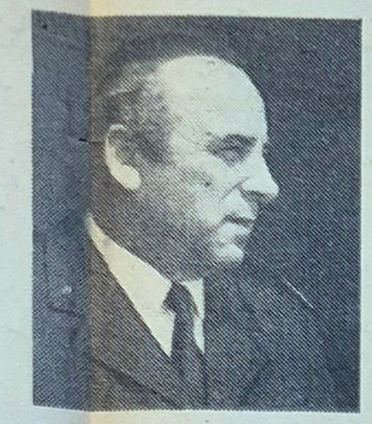

Kapitan „Lodowika" — Franciszek Łukasik.

C. d. ze str. 1

4—5 tysięcy ton śledzi i makreli przechodzi przez ręce rybaków i chłodnie naszego trawlera. W przeliczeniu na wagony — daje to 400 wagonów ryby! A ten rejs będzie dłuższy...

Lodowik to nazwa niezbyt urodziwej ryby z północnych rejonów morskich, ale mt „Lodowik" jest trawlerem-zamrażalnią o eleganckiej sylwetce. Wyposażony nie tylko w nowoczesne urządzenia służące do nawigacji i połowów, jest prawdziwą pływającą fabryką, z której ryby schodzą dobrze zamrożone w postaci kawałków gotowego do smażenia mięsa pozbawionego ości. Z odpadów wytwarza się mączkę rybną, tran.

KAPITAŃSKA GŁOWA

Kapitan „Lodowika", Franciszek Łukasik, 22 lata pływa po morzach i oceanach, od 13 lat w randze kapitana żeglugi wielkiej rybołówstwa morskiego. Nareszcie ma wolną chwilę.

— Zabieramy zapas żywności na 6 miesięcy — informuje — potem dostaniemy resztę. Samego sprzętu rybackiego mamy 40 ton!

Każdy mówi, że kapitan nosi czapkę z laurowymi liśćmi, ale jaka głowa pod tą czapką! Taaaka! — kapitan unosi ręce nad głową.

Na Atlantyku „Lodowik" będzie pływał do kwietnia, załoga zostanie wymieniona, przywiezie się ją samolotem, ale kapitan „zmiennika" nie ma... Statek wart jest ponad 100 milionów złotych. Najwyższym dobrem jest na nim jednak człowiek; załoga liczy 62 osoby.

Na morzu poradzić się nie ma kogo... Dobrze, że mamy świetnego kucharza. Dobry kucharz — 80 proc. powodzenia, połowa kłopotów z głowy.

Zabieramy 12 filmów, potem je wymieniamy z innymi trawlerami. Jest także biblioteka. Poczta czeka na nas w Nowym Jorku. Rozmowy z rodzinami za pośrednictwem radia też są atrakcją dla załogi, która całymi miesiącami nie widuje swoich najbliższych. Ale jak jest ryba — jest robota, pełne ręce roboty i na nudy nikt nie ma czasu! Ledwie go starcza na trochę snu...

— Nie łowimy na ślepo! Trzy sondy pionowe i poziome wykrywają w wodzie ławice ryb i z góry nawet wiemy czy jest to śledź czy makrela. Nie da się tylko uniknąć nieproszonych gości. Czasem są nimi niechętnie przez nas widziane ryby o szorstkim naskórku — tzw. kurki — wczepiające się w sieci, czasem rekiny, wieloryby, delfiny, fo-

LUDZIE CODZIENNEJ PRZYGODY

Goleniowski „BURMISTRZ"

W GOLENIOWIE, mieście liczącym 16 tys. mieszkańców i leżącym niedaleko Szczecina wyrosło w ostatnich latach sporo nowych domów. Ale była jedna sprawa niepokojąca: co zasiano między blokami trawę, co założono jakiś kwietnik — ktoś to po kilku tygodniach niszczył. Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, Józef Kaciupa, bohater naszego reportażu, zabawił się w detektywa. I nie miał wielu kłopotów z odkryciem sprawców, okazały się nimi po prostu osiedlowe dzieciaki. Goleniowski „burmistrz" nie zastanawiał się długo: zebrał w świetlicy sam kwiat osiedla, w te słowa do niego przemawiając:

— Szanowni zebrani, obywatele miasta poniżej wieku emerytalnego... Czy nie zechcielibyście uczestniczyć w konkursie? I przedstawił im swój pomysł: dzieci z każdego domu tworzą zespół konkursowy i walczą ze sobą przy pomocy najlepiej utrzymanej zieleni...

No i właśnie przed samymi wakacjami konkurs rozstrzygnięto: w spotkaniu „nastoletniego" aktywu wzięło udział 150 czołowych goleniowskich asów grabi i motyki, a niejeden z nich wyjechał ze spotkania zdobytym w konkursie rowerem.

Tak poznaliście Józefa Kaciupę, człowieka bardzo przez goleniowskie dzieci lubianego. Potrafi on przycupnąć czasami przy pracującym człowieku, dodać otuchy, zafundować lody w nagrodę za trud... Bo jest to zupełnie szatański ojciec miasta.

Była sprawa bazy dla harcerzy. Jakże to — pytają ludzie — Goleniów nad wodami różnymi leży, w pobliżu Jezioro Dąbskie, rzeka Ina i nawet sam Zalew Szczeciński, a nasze dzieciaki tylko suche lata mają i brak im szerszych perspektyw słoneczno-opaleniowych... Trzy lata trwała akcja i oto powstał dla goleniowskiego hufca ZHP ośrodek w Czarnocinie nad Zalewem. Bez grosza wydatków z budżetu miasta. Jakim sposobem? A, trochę dali ludzie, trochę się popracowało... No i uliczki są wyasfaltowane, stoi stała kuchnia, latarnie, parkan, przystań... Mieszkają tam właśnie teraz mali Słowacy, a nasi pojechali w słowackie góry.

To się nie bierze jednak znikąd, te nowe domy w Goleniowie, sklepy i najlepsza w województwie gastronomia, basen o wymiarach olimpijskich, biblioteka warta 2 i pół mln zł, kino panoramiczne, salon wystawowy dla studentów warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, muzeum przyrodnicze, asfalt na wszystkich jezdniach, nowy dworzec i sto innych rzeczy. A wszystko to przeważnie... bez pieniędzy. Oczywiście — wydanych z budżetu miejskiego.

— A skąd?

— Zakłady pracy złożyły się na tzw. fundusz inwestycyjny, ale to nie wszystko. Dowcip z rządzeniem polega na tym — twierdzi Józef Kaciupa — żeby umieć wykorzystać wszystkie możliwości miasta, uruchomić wszelkie jego „aktywa" zarówno gospodarcze jak i ludzkie.

W praktyce wygląda to tak. Buduje PSS sklep — miasto prosi: urządźcie w pobliżu skwerek z ławeczkami, kwiatami i w ogóle... Powstaje basen i chodzi o to, żeby nie za sto lat, ale za rok jakiś Zbyszek i kompania mogli wejść w te jego spienione nurty. Więc się dniami i nocami ojcowie miasta poświęcają, budowy doglądają, kanapkami odżywiają, żonom się narażają, ale basen, solidnie dopilnowany — jest! A te hangary, kioski, ogrodzenie, słupki, latarnie? Po prostu zakłady pracy też chcą tu kąpać swoje załogi, więc się przyłożyły. Gdy Kaciupa wchodzi wreszcie przez bramę nowo otwartego basenu słyszy: za bilet poproszę... Zdenerwował się przewodniczący, bo niejeden pochmurny i upalny dzień spędził tu przy łopacie, a jeszcze każą płacić. A w dodatku słyszy obok: my tylko na dzinkę, a nie mamy pieniędzy...

— Dość tego zdzierstwa — stwier podczas posiedzenia prezydium MRN od nas wszystkich cośmy ten basen bu wali.

I odtąd po wsze czasy wstęp na g niowski basen jest bezpłatny.

„...owik" płynie na Atlantyk

ki. Te trzy ostatnie gatunki należące do ssaków — giną, niestety, ponieważ nie mogą się wydobyć na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza.

NAJCIĘŻSZY REJS

— Najcięższy rejs miałem w 1967 roku. Polskie supertrawlery wychodziły wtedy w pierwszą, rekonesansową wyprawę na Labrador z „Gryfem Pomorskim" — nowoczesnym statkiem-bazą.

Szliśmy na północno-zachodni Atlantyk. Rejs zapowiadał się nieźle. W angielskim porcie Dover otrzymaliśmy jeszcze jeden radar, wirujące szyby ogrzewcze na kapitański mostek, aby szyby nie pokrywały się lodem itp. Wreszcie wyruszyliśmy, dziwiąc się, że Atlantyk taki spokojny, a pogoda śliczna... Gdy doszliśmy do szerokości 48 nord i 20 west, nastały ciężkie dni! Radiooficer odebrał ostrzeżenie nadane przez Anglików: idzie sztorm! Nie było ani gdzie się cofnąć, ani gdzie schować. Siła wiatru wzmogła się do 12 st. w skali Beauforta i tak już było do brzegów Kanady.

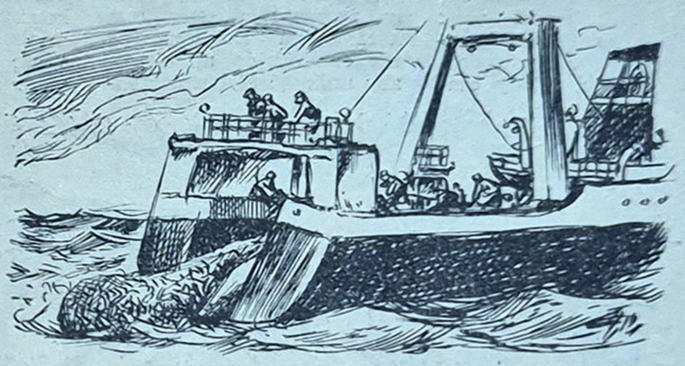

Posuwaliśmy się na pozycje „Gryfa Pomorskiego". Płynął wtedy „Karwią", obok szły „Olawa" i „Opawa". Byliśmy w samym oku huraganu! Połamana fala atakowała ze wszystkich stron, tak, że nie można było sztormować. Staliśmy w dryfie i kiedy wiatr się ukierunkował, ruszyliśmy dalej.

Pogoda jednak nadal płatała figle, sztorm następował jeden za drugim. Na domiar złego dość nieoczekiwanie temperatura spadła do minus 12 stopni. Zaczęliśmy obmarzać, groziło wywrócenie statku, musieliśmy zmienić kurs i iść na południe. W 18 dni dotarliśmy do Nowej Funlandii. „Karwia" wyglądała jak lodowa góra, załoga nie łowiła, lecz rąbała lód.

W kuchni wszystko skakało, nie można było nic ugotować, wylewało się. Ludzie pracowali przywiązani linami. A sen polegał właściwie na utrzymywaniu się na koi, trzeba było zapierać się nogami, by nie wypaść.

GDY ZAWIEDZIE STER

— Innym razem, a był to teren niebezpieczny do przepłynięcia z powodu płycizn i mielizn, statek zaczął kłaść się na bok. Zwróciłem uwagę wachtowemu, że idziemy w prawo. Próbujemy pół naprzód, cała naprzód, a on dalej sunie w prawo!

Przybiega mechanik — sprawdza ster. Zepsuty!

Obróciliśmy statek w dryfie, aby stanąć lewą zabudowaną rufą od fali. Mechanik stwierdził, że ster nie działa z powodu rozkręcenia się sterociągów.

Powiadomiliśmy nabrzeżne stacje, że mamy awarię i rozpoczęła się praca. Trzeba było skręcić sterociągi. A wiało 10—11 w skali Beauforta!

Trwało to blisko półtorej godziny. Poobijane ręce, pokrwawione... Tak to bywa na morzu.

Kiedy się wraca z rejsu, marynarze wykreślają dni z kalendarza, ale gdy zbliża się godzina wyjścia w morze — też nie mogą doczekać się tej chwili! Coś w tym pływaniu jest...

A. GRZYBOWIECKA

---

go-
dza
—
do-
le-

Ale przecież nie o to w końcu chodzi. Bo taki na przykład amfiteatr. Potrzebny? Bardzo... Skąd wziąć pieniądze na budowę? Ruszają mieszkańcy na „wykopki", dorośli po pracy, dzieci szkolne po lekcjach i sypią wały. Ławki? Jest tu przecież zakład meblarski... Brama? Mechanizacja rolnictwa... Zamiast 9 milionów kosztuje to w końcu niecałe 3. Podobnie powstaje zespół boisk. I nowy park przy ul. Szczecińskiej. I wykopy pod wodociągi i kanalizację. I ośrodek wypoczynkowy dla wszystkich w Lubczynie. I... no, dość wyliczanki.

Chodzi Kaciupa czasami z aparatem fotograficznym po mieście. To my, panie przewodniczący — mówią dzieci bawiące się koło domu. Kaciupa nie pamięta każdej twarzy, ale mówi — acha... I robi zdjęcie. Do domowego albumu i do miejskiej kroniki. I dla pewnych dyrektorów, np. „Ruchu", któremu to dyrektorowi wysyła cały zestaw zdjęć goleniowskich kiosków. — Czasami pisze np. dedykację: „takie kioski, taka brama w GS kompromitują miasto, polecam łaskawej pamięci, a za miesiąc wysyłam zdjęcia także do szczecińskiej prasy..."

Nie jest jakimś dyktatorem, nie rządzi miastem sam, a to bardzo ważne. Zbierają się dyrektorzy, przedstawiciele partii, radni, każdą ważniejszą sprawę gruntownie omawiają i wspólnie decydują. A gdy przyjedzie jakiś nieuspołeczniony kontroler i pyta: „dlaczego przy basenie wykonano więcej prac, niż macie na to rachunków?" — kolektywnie biorą na siebie odpowiedzialność za swój „nielegalny" basen, za nielegalny brak opłat wstępu, za tanio wybudowany dom itp. A jeżeli chodzi o domy, to było tak: kilka zakładów miało pieniądze, nie miał kto jednak domów postawić. Budowlani w ogóle nie chcieli słyszeć o przyjęciu dodatkowych zleceń, bo i tak ledwo dyszą, więc wszystkim zrobiło się nijako. A Kaciupa mówi: „jest wyjście". I rzeczywiście: wyrosły w powiatowym mieście Goleniowie domy, wyglądające jak w PGR. Bo też i przedsiębiorstwo budownictwa wiejskiego je stawiało. Kręcili niektórzy nosami, ale przestali, gdy sobie obliczyli: 15 domów po 16 mieszkań w każdym, czyli 240 rodzin mieszka już po ludzku! Tak to jest z tym rządzeniem...

— Czy ciężko rządzi się miastem, panie przewodniczący? Czy w rządzeniu tkwi jakaś tajemnica?

— Nie wiem, czy ciężko, bo kiedy się nad tym zaczynam zastanawiać, zawsze dzwoni jakiś telefon, albo przychodzi ktoś ze sprawą i trzeba gnać w miasto. A tajemnica jest: proszę jej tylko nikomu nie zdradzić. Tkwi ona w tych 150 nagrodzonych dzieciach. To był ich pomysł, żeby konkursem objąć i ich... mamy, to one wymyśliły konkurs na najładniejszy balkon w Goleniowie. Balkony mamy ładne, ale czy to najważniejsze? Moich stu pięćdziesięciu rządców — to dopiero jest zdobycz, no nie?

R. GAŁUSZKA

Lok czarownik plemienia

A. M. LINIEWSKI — Tłum. J. Stykowski — 6)

— **Zrobiłeś!** Naruszyłeś święty porządek. przegoniłeś czarownice ze Świętej Skały, teraz są złe na mnie. Chcesz zwalić na mnie winę za niepowodzenia w łowach. Dziś wprowadziłeś nowy obrzęd...

— Starcy mówili, że był już kiedyś...

Krzemień tak silnie ścisnął rękę Loka, że ten krzyknął z bólu.

— Pamiętaj, jeśli nie chcesz napytać sobie biedy: jak żyliśmy dotychczas, tak mamy żyć i teraz!

Starzec pochylił się ku chłopcu tak, że jego kosmata broda dotknęła twarzy Loka.

— Jeśli chcesz żyć, słuchaj się mnie! — powtórzył Krzemień.

Dłonie naczelnika myśliwych legły na ramionach Loka, cisnąc je coraz silniej i silniej. I nagle chłopak poczuł, jak odrywa się od ziemi. Wydawało mu się, jakby ze wszystkich stron pełzła ku niemu ciemność. Szum wodospadu stał się silniejszy i bliższy, potem zaczął się oddalać. Chłopak zapamiętał, jak błysnęły przed jego twarzą straszne oczy Krzemienia. A potem nie pamiętał już niczego.

Kiedy Lok ocknął się, straszliwego starca nie było już na skale. Chłopak chciał się podnieść i jęknął — ramiona przeszywał mu ostry ból. Wiele siły miał w rękach Krzemień, tyle lat strzegący zazdrośnie swej władzy nad koczowiskiem...

Nie zdążyli jeszcze myśliwi opuścić Świętej Skały, a Lisia Łapa wiedziała już wszystko. Chłopak zaprowadza nowe porządki!

„Jeśli mężczyźni przestaną wierzyć naszym duchom, co stanie się z nami, czarownicami? Nie zechcą słuchać naszych zaklęć, nie będą troszczyć się o naszą starość" — myślała z goryczą starucha.

Ale najstarsza czarownica plemienia nie mogła tak lekko wypuścić władzy ze swoich szponiastych rąk...

A tymczasem nastąpiła długo oczekiwana wiosna. Wysoko w jaśniejącym niebie rozległ się jęk prawie niewidocznych kluczy żurawi. To był pewny znak, że lada chwila przylecą niezliczone stada wszelkiego ptactwa. I rzeczywiście — już pod wieczór na puściejących od lodu jeziorach słychać było donośne kwakanie kaczek i gromki gęgot gęsi. Zagłuszając te dźwięki, siadały na wodę wciąż nowe i nowe chmary ptaków. Trzymając się z dala od tego szumnego tłumu, pływały parami dumne, milczące łabędzie. Nie można było poznać tych jeszcze nie dawno smutnych, skutych zimową ciszą jezior.

Wielka gęś na Świętej Skale też już nie była samotna. Lok wybił obok niej łabędzia i trzy kaczki. Aby zapewnić powodzenie w łowach, młody czarownik każdego ranka rzucał w wizerunki swą czarodziejską buławę. A że łowy były udane, przeto nikt nie wątpił w skuteczność działań Loka. Tylko Lisia Łapa kręciła głową. Czyż w zeszłym roku mało było zwierzyny? Ale nic nie mówiła. Wycieńczeni długim głodem ludzie chcieli wierzyć w siłę nowego czarownika, w jego przyjaźń z duchami. Ciesząc się obfitością jedzenia sławili Przyjaciela Myśliwych, miłościwego garbusa Roko...

Kiedy czarownik chciał uzupełnić swoje zapasy, przychodził do koczowiska i zwracał się do starych kobiet, które nazywano „gospodyniami jedzenia".

Pewnego dnia, idąc ścieżką z pustymi koszykami Lok spotkał młodego myśliwego Au, którego tak wyróżnił w czasie czarowania na Świętej Skale. Au zatrzymał czarownika.

— Wczoraj — powiedział — mój brat Ziu podsłuchał, że Lisia Łapa chce rzucić na ciebie urok. Zaczarowała kawałek gęsiny i kazała mojej matce dać go tobie, kiedy przyjdziesz po jedzenie. Co zamierzasz uczynić?

— Moje duchy obronią mnie — odpowiedział Lok, choć nie wierzył w obronę tych, których ani razu nie widział ni we śnie, ni na jawie.

Były dwie „gospodynie jedzenia", które wydawały żywność mieszkańcom koczowiska. Lok mógłby nie chodzić do matki Au, aby uniknąć niebezpieczeństwa. Ale rozmyślnie zwrócił się właśnie do niej. „Ona nie wie, że odkryłem podstęp najstarszej czarownicy — rozumował. — Na pewno trzyma ten kawałek gęsiny w innym miejscu, niż pozostałe".

Nic nie mówiąc, matka Au weszła z nim do sąsiedniej ziemianki, gdzie były zgromadzone zapasy. Lok uważnie obserwował, jak „gospodyni jedzenia" zdejmowała z drewnianych żerdek kawałki mięsa i kładła je do koszyka.

„Nie tu, jeszcze nie tu — patrząc jej na ręce przekonywał w myśli sam siebie. — Ten kawałek schowała nie tutaj, położy go na ostatku".

Lok odgadł. Prawie napełniwszy koszyk, starucha zdjęła oddzielnie wiszącą wędzoną pierś gęsi.

— To taki tłusty kawałek — powiedziała — że możesz go nawet nie gotować.

Lok wyrwał z jej rąk koszyk i schował go za plecy.

— Odnieś ten kawałek Lisiej Łapie! — krzyknął Lok. — Moje duchy zabraniają go jeść.

— O, Lok — zaszeptała zmieszana starucha — jesteś naprawdę wielkim czarownikiem!

Mrucząc coś i bojaźliwie oglądając się na chłopaka, podreptała w stronę ziemianki Lisiej Łapy...

Nadszedł czas, kiedy chłopcy z koczowiska brodzili po pobliskich jeziorkach w poszukiwaniu gniazd ptaków wodnych, które teraz właśnie składały jajka.

Teraz Lok nie był malcem. Czarownikowi nie przystoi włóczyć się po przybrzeżnych zaroślach. Ale jego zapasy skończyły się, a bał się uzupełnić je u „gospodyń jedzenia". Zdecydował się wyruszyć na poszukiwanie jaj. Jednak, aby nikt nie spotkał go przy tym zajęciu, wyprawił się jak najdalej od koczowiska. Znalazł takie miejsce, gdzie było bardzo wiele jaj. Najadłszy się do woli, zaczął zbierać je na zapas. Wtem jego uważne ucho złowiło jakieś dziwne trzeszczenie. Lok zamarł w bezruchu, to nie było zwierzę, zbliżał się człowiek. Przypadł do ziemi za krzewem: nikt z współplemieńców nie może go znaleźć tu, wśród gniazd.

Kroki nie były szybkie, dziecięce, ale i nietwarde, męskie; ktoś wlókł nogi, szurając ciężko. Lok ostrożnie rozsunął gałęzie. Ledwie widoczną ścieżką szła Lisia Łapa...

Wpatrzywszy się, Lok o mało nie krzyknął ze zdziwienia. Lisia Łapa niosła dziecko. Lok poznał dziewczynę, to była mała Sroka. Chłopak, kryjąc się za krzakami, śledził czarownicę.

Doszli do miejsca, gdzie wśród pni zwalonych przez burze lubiły mieszkać rysie. Tu starucha ostrożnie położyła śpiącą dziewczynkę na ziemię i mamrocząc coś niewyraźnie, poczłapała z powrotem.

Gdy czarownica skryła się za drzewami, Lok podszedł do dziewczynki. Ścisnęło mu się serce: wkrótce noc, dziecko rozszarpią drapieżniki. Dlaczego zła czarownica skazała je na zagładę? Nie myśląc wiele wziął Srokę na ręce i poszedł w kierunku koczowiska.

W połowie drogi zatrzymał się.

„Jeśli odniosę Srokę matce — pomyślał — nigdy nie dowiem się, co zamierzała Lisia Łapa. Ale gdzie ukryć dziewczynkę?"

Przypomniała mu się znajoma wysepka na rzece. Dzikie zwierzęta nie przedostawały się tam, a gniazd ptasich było pod dostatkiem. Odniósł ją tam i nakarmił.

Nie od razu spostrzeżono w koczowisku zniknięcie dziewczynki. Wiosną dzieci same karmiły się znalezionymi w lesie ptasimi jajkami i niekiedy nie wracały na noc do ziemianek. Ale kiedy na trzeci dzień Sroka nie wróciła, jej matka pobiegła do czarownic. Staruchy zaczęły odprawiać swoje obrzędy, a następnego dnia Lisia Łapa ogłosiła Loka winowajcą nieszczęścia.

Wiatr przyniósł do ziemianki młodego czarownika niesamowite wrzaski kobiet. Pomalowawszy twarz i ręce ochrą, Lok pobiegł do koczowiska. Kobiety przywitały go groźbami.

— Za co zgubiłeś moją córkę? — krzyknęła matka Sroki.

— Czy twoja córka nie żyje?

— Ty ją zabiłeś! — wmieszała się Lisia Łapa. — Moje duchy powiedziały mi o tym!

„A więc to tak? — pomyślał Lok. — Starucha nie oszczędziła nawet dziecka, aby mi tylko zaszkodzić".

Kobiety ze złością ruszyły ku czarownikowi. Wtedy Lok podniósł ręce nad głowę i poruszając pomalowanymi palcami sam podszedł do tłumu. Popychając się wzajemnie, kobiety odskoczyły do tyłu.

— Czy słyszałyście? — głośno przemówił Lok. — Duchy Lisiej Łapy powiedziały, że dziewczynka umarła...

— Tak, tak, tak! — zachrypiała Lisia Łapa. — Duchy tak powiedziały!

— Matko! — Lok zwrócił się ku matce Sroki. — Lisia Łapa mówi, że twoja córka jest martwa. Moje duchy wiedzą, że ona żywa! Komu więc wierzysz?

Kobieta zawahała się.

— Nie wie moje serce, komu wierzyć — wyszeptała zmieszana. — Nie wie...

C.D.N.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA. tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerate ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa ul. Towarowa 28. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

Zam. 2891. A-70

Niezwykłe odkrycie w dżungli na MINDANAO

Spotkanie z „LUDŹMI PALEOLITU"

OD kilku lat do pracowników naukowych Muzeum Narodowego stolicy Filipin Manili, dochodziły wieści o nieznanym światu plemieniu leśnych ludzi, żyjących w absolutnej izolacji w dżungli na południu wyspy Mindanao. Z początku nikt w to nie wierzył. Czy możliwe, aby na niewielkiej przecież wyspie i wcale nie bezludnej mogli żyć nieznani światu ludzie? Ale doniesienia nie ustawały. Głównym „dostawcą" tych niezwykłych wieści był krajowiec z plemienia Manubu imieniem Dafal. W swoich wędrówkach myśliwskich, jak twierdził Dafal, zetknął się z „nagimi ludźmi". Co więcej, porozumiewał się z nimi i obdarzył ich nawet przedmiotami, których nigdy nie widzieli, a więc łukami, strzałami, kawałkami tkanin, prymitywnymi ozdobami.

Wreszcie uczeni uwierzyli Dafalowi. Muzeum w Manili zorganizowało ekspedycję z udziałem m.in. antropologa amerykańskiego Roberta Foxa, filipińskiego etnografa Manuela Elisalde, językoznawcy Teodoro Lamsona i lekarza Saturnino Rebonga. Helikopter uczestników ekspedycji wylądował w miejscu umówionym z Dafalem — na polance dżungli. Tu odbyło się pierwsze spotkanie z ludźmi „z najprawdziwszego paleolitu" — jak się wyraził Robert Fox. Reprezentowani byli przez sześciu mężczyzn ze skąpymi przepaskami na biodrach, o ciałach giętkich i muskularnych, skórze koloru bursztynowego, jaśniejszej niż skóra innych plemion z Mindanao, o włosach długich i falistych. Porozumiewając się z wielkim trudem za pośrednictwem Dafala, leśni ludzie oświadczyli, że przypuszczali dotychczas, iż są jedynymi istotami, zamieszkałymi w ich świecie, który stanowiła dżungla. Przywiezione przez ekspedycję podarunki w postaci prymitywnego sprzętu do łapania w sidła, paciorków, lusterek, tytoniu przyjęli bez entuzjamu i wyrazów wdzięczności. Oświadczyli też, że mają wszystko co jest im potrzebne, i cieszy ich jedynie spotkanie z przedstawicielami „Divaty" — istot władających ich zdaniem dżunglą. Za takich przedstawicieli brali oni członków ekspedycji.

Po tygodniu odbyło się drugie spotkanie pomiędzy przybyszami ze świata cywilizowanego i plemieniem, nazywającym siebie narodem „Tasadaj Manubu". Tym razem naukowcy zapoznali się z 24-osobową grupą rodzin monogamicznych, wśród których było dziewięciu chłopców i cztery dziewczynki. Potwierdzony został fakt, że plemię nie miało dotąd żadnych kontaktów ze światem poza dżunglą, zajmując się zbieractwem, rybołówstwem i polowaniem na drobne zwierzęta, jedząc głównie owoce palmy rotang i dzikie rośliny bulwiaste, mięso oraz ryby. Ogień rozpalają ludzie

Rys. H. Chmielewski

Tasadaj, trąc dwa kawałki suchego drzewa. Ich narzędzia wyrabiane są z kamienia i bambusu, z którego powstają noże i świdry. Strawę gotują oni w naczyniach również z grubego bambusu. Tasadajowie wędrują nieustannie po lasach w poszukiwaniu jadalnych korzonków i jagód i na każdym czasowym postoju budują szałasy lub też kryją się w szczelinach skalnych czy w jamach pod korzeniami gigantycznych drzew. Nieznana jest im instytucja wodzów plemienia: o wszystkim decyduje „wiec" z udziałem dorosłych mężczyzn i kobiet.

Ludzie Tasadaj są niewielkiego wzrostu (ok. półtora metra), mają dobrodusznie wyglądające twarze, czerwone wargi na skutek żucia metelu i podpiłowane zęby. Zdaniem dr Rabonga są oni zdrowi fizycznie, nękają ich jedynie schorzenia skórne. Przeciętny wiek jest niski: najstarsi mężczyźni i najstarsze kobiety plemienia liczą sobie zaledwie około czterdziestu lat.

Pierwsze badania ich języka, dokonane przez naukowców z Manili, wykazują jego podobieństwo do języków podgrupy Manubu grupy malajsko-polinezyjskiej, jednak dialekt Tasadaj rozwijał się jako zupełnie odizolowany przynajmniej w ciągu tysiąca lat. Antropolog ekspedycji Robert Fox przypuszcza, natomiast, że izolacja nastąpiła jeszcze znacznie wcześniej. Jak widać ze sporządzonego słowniczka 100 wyrazów, leśni ludzie z wyspy Mindanao nie mają terminów dla „morza" i „łódki", nie znają wyrazów oznaczających ryż, kukurydzę, nigdy nie trudnili się uprawą roli i chowem zwierząt domowych. Nie mają oni pojęcia o rachubie czasu i słabo orientują się w zmianach pór roku.

Co się stanie z plemieniem Tasadaj teraz, kiedy sąsiednie plemiona, znajdujące się na znacznie wyższym poziomie rozwoju, rąbią już i wypalają dżunglę, zbliżając się coraz bardziej do kryjówek leśnych ludzi? W jaki sposób przyzwyczaić Tasadajów do zdobyczy cywilizacji? Z drugiej strony istnieje obawa, że zetknięcie się ze zdobyczami XX wieku może mieć dla nich następstwa tragiczne. Trzeba bowiem pamiętać, że ich i nas dzielą niemal wszystkie etapy rozwoju ludzkości.

Etnografowie sugerują, aby założyć dla Tasadajów rezerwat, w którym mogliby powolutku przyzwyczajać się do naszego świata. Miejmy nadzieję, że uczeni znajdą najlepsze rozwiązanie, zapewniające leśnym ludziom z Mindanao „bezwstrząsowy" rozwój.

(bor)

TU ODCIĄĆ

SZYFR INDIAŃSKICH PIÓR

JAK już mówiliśmy, wojownicy indiańscy i wodzowie nie nosili na co dzień paradnych pióropuszy, ale po kilka piór we włosach. Pióra te sławiły czyny bojowe swych właścicieli. Każde pióro, w zależności od barwy i kształtu oraz od kąta, pod jakim było umocowane na głowie, mówiło o czymś innym. Popatrzcie na rysunek głowy Indianina przystrojonej takimi piórami. Oznaczają one (od lewej):

1. Był ranny w czasie walki.

2. Zabił wroga (kolorowe włosie końskie przylepione do końca pióra).

3. Unieszkodliwił wroga gołymi rękami (pionowo stojące pióro orła).

4. Zaatakował nieprzyjaciela jako drugi.

5. Wielokrotnie raniony na polu walki (gdy noszono to pióro, zdejmowano pióro oznaczające jednokrotne ranienie).

6. Pierwszy wyśledził wroga i zameldował starszemu wojownikowi.

INDIAŃSKIE „ESPERANTO"

Wśród Indian mówiących różnymi językami i narzeczami, istniał język gestów, umożliwiający porozumienie między poszczególnymi szczepami. Oto niektóre ze znaków tego indiańskiego „esperanto":

● **biały człowiek — gest, pokazujący kapelusz na głowie,**

● **namiot — dwa ukośnie złożone palce wskazujące,**

● **kłamstwo — gest określający mowę (dotykanie ust) i gest określający, że ta mowa rozchodzi się w dwie strony, nie idzie prostą drogą.**

MAŁA KSIĘGA INDIAN STR. 9

Redaguje Włodzimierz Lewiński

CZEŚĆ!

Marcin Pyda z Łodzi wyszperał dla mnie bardzo długi poemat „kalamburowy". Wszystko, co na temat kalamburów wyszperaliśmy dotychczas to „pestka" w porównaniu z nim. Oto wiersz:

Udając raz chorego, mlecz
poszedł po rozum do krowy:
„Krowo kochana, ty mi r z e c z,
a dam ci za to każdą r z e c z,
co robić, bym był zdrowy?"
Krowa odrzekła po n a m y ś l e:
„Poczekaj, niech no się n a m y ś l ę..."
i drapiąc się racicą w r ó g
myślała tak: „czy mlecz to w r ó g?"
albowiem krowi kodeks — krowie
zabrania dbać o wrogów zdrowie.
Po jakimś czasie rzekło z w i e r z ę:
„Pójdę się innej krowie z w i e r z ę!"
Poszła, choć wołał za nią mlecz:
„Krowo, nie odchodź, l e c z mnie l e c z!"
Zaledwie znikła, wielkie s t a d o
krów, mnóstwo, coś około s t a - d o
„chorego" mlecza pędzi z r a d ą.
Słucha ich rad mlecz z miną r a d ą
„Musisz się mleczu przenieść w las,
gdyż reumatyzm ci w liście wlazł!
Nie możesz zostać tu nad r z e k ą".
Tak zgodnym chórem krowy r z e k ą.
Mlecz niby smętnie przyjął w i e ś ć:
„Dobrze by w lesie żywot w i e ś ć,
Lecz ja tam pójść nie jestem w s t a n i e!"
Tu jedna z krów leżących w s t a n i e:
*„Więc ja posłużę ci z a w o ł a**)
zaniosę cię!" — tak doń z a w o ł a.
I chociaż mlecz miał twarde ł y k a
zrywa go, bierze w pysk i... ł y k a!
I tak, o straszny, podły m o r d z i e
mlecz skończył żywot w krowiej m o r d z i e.
Każdy mlecz, trawa, teraz w i e, ż e
krowa, to bardzo chytre z w i e r z ę.
Bardzo łakoma jest na ż a r c i e
i nie zna się na dobrym ż a r c i e.

*) Przepraszam stąd (to znaczy z dołu) że jest: z a w o ł a, nie: z a w o ł u. Jednakże krowa zwierz to dziki i wcale nie zna gramatyki.

Ufff... ale wierszydło, co? Ciekawe, gdzie Marcin to wyszperał?

*

Rafał Podlaski wymyślił taki statek literkowy:

STATEK

Jestem trochę „za stara" na czytanie „Świata Młodych" (mam 18 lat), ale lubię cię, Rzepiku, tak bardzo, że nie mogę doczekać się piątku...

Tak pisze do mnie Stasia Jarczyńska z Koźmina. Chyba po raz pierwszy zostałem nazwany „Rzepikiem" i bardzo mi się to podoba. Stasia przysłała kilka literkowych rysunków:

MILIOOOOOON

ula

mek

Itagoras

Wcale nie uważam, że jesteś „za stara", Stasiu; „Świat Młodych" jest gazetą uniwersalną, czytywaną nawet przez staruszków — takich oczywiście, którzy czują się młodo.

Wszystkim moim przyjaciołom dziękuję za listy. Życzę Wam pogody meteorologicznej i pogody ducha.

Wasz RZEP

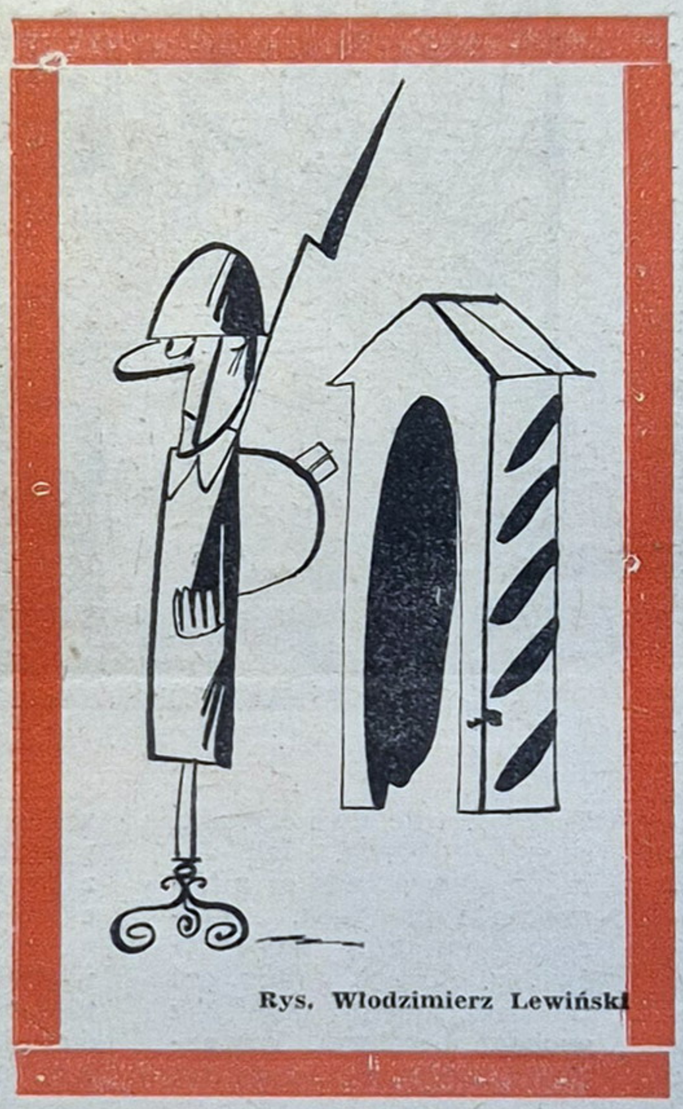

Rys. Włodzimierz Lewiński

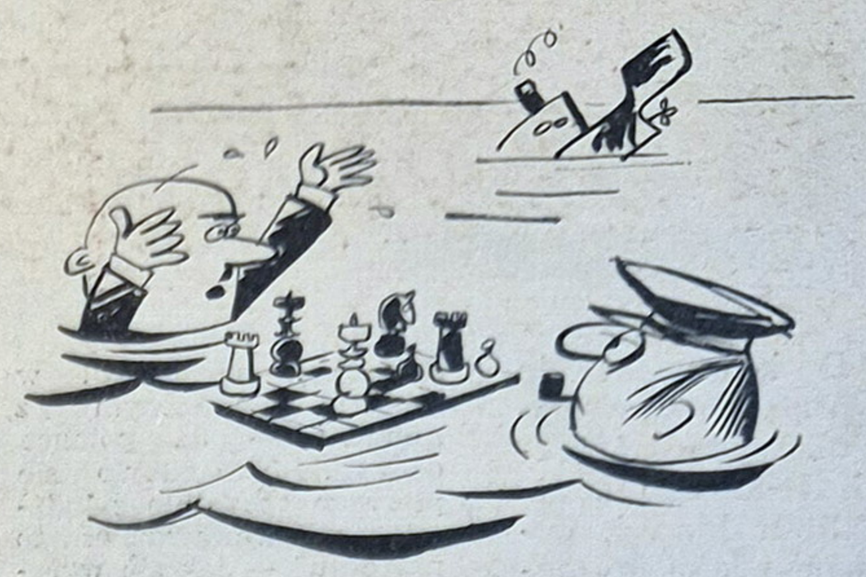

— Wybaczy pan, kapitanie, przez to wszystko zapomniałem czyj był ruch...

Rys. W. Lewiński

WYSZPERANE DLA RZEPA

— Jeżeli nie przestaniecie się kłócić, to zabiorę wam szachy!

Darek Porzycki

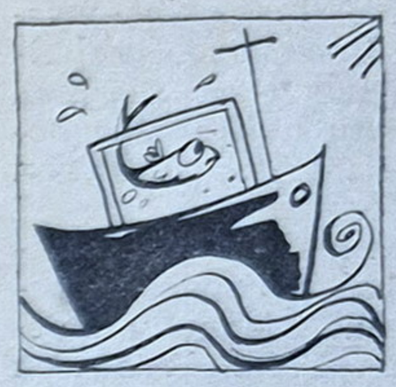

— Czy ryby mogą zachorować na chorobę morską?
— Tak, jeśli są w akwarium znajdującym się na pokładzie statku i jest sztorm.

Leszek Wieruszewski

— Ty, dokąd tak lecisz?
— Spieszę się żeby dostać lanie od mamy!
— ???
— O czwartej wraca tata i gdybym się spóźnił to on mamę wyręczy.

Ela Urbańczyk

— Bardzo nie lubię takiej pogody, bo wtedy dzieci siedzą w domu.

Marek Durzyński

Nagrodę SZPERACZA TYGODNIA otrzymuje Marek Durzyński.

TU ODCIĄĆ

STR. 10 MAŁA KSIĘGA INDIAN

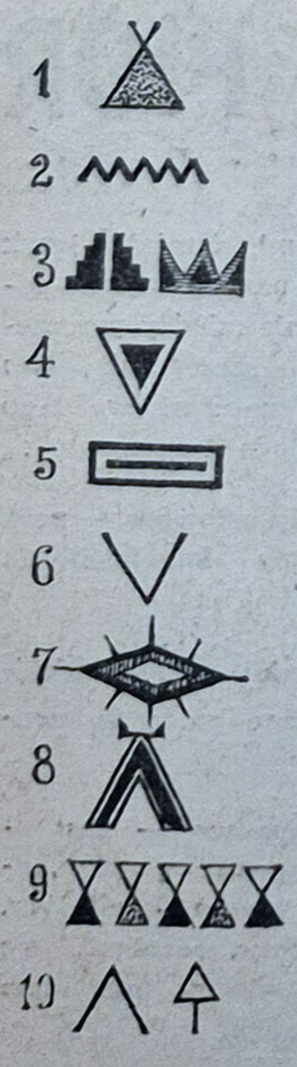

Do sygnalizowania z dalszej odległości używano często sygnałów-znaków optycznych. Gdy na przykład indiański wywiadowca wyśledził bawoły, wtedy dla zakomunikowania o tym znajdującym się daleko współplemieńcom — podnosił do góry derkę lub płaszcz z bawolej skóry, składał nad głową i opuszczał spokojnym ruchem. W ten sposób bez płoszenia krzykiem zwierząt cała grupa została poinformowana o ich nadciąganiu.

Dla zasygnalizowania pojawienia się wroga, wywiadowca zaczynał biegnąć zygzakiem lub jechał konno zygzakiem. Tak czynili zawsze uciekający Indianie, by trudniej ich było trafić strzałą wypuszczoną z łuku.

MÓWIĄCE ORNAMENTY

Liczne indiańskie ornamenty — malowane, wyszywane, układane z koralików lub wypalane — miały swoje znaczenia. Wyobrażać one miały rzeczy lub zjawiska ze świata zwierzęcego, otoczenia człowieka, zjawiska atmosferyczne itp.

Ornamenty były częstokroć czerwone, niebieskie, zielone i bardzo kolorowe, przeważnie żółte. Tu — z konieczności — możemy je tylko przedstawić w kolorze czarnym. Oto niektóre z nich:

1) wschód słońca, 2) błyskawica, 3) góry, 4) serce, 5) oko, 6) orzeł, 7) żaba, 8) namiot, 9) obozowisko, 10) strzały.
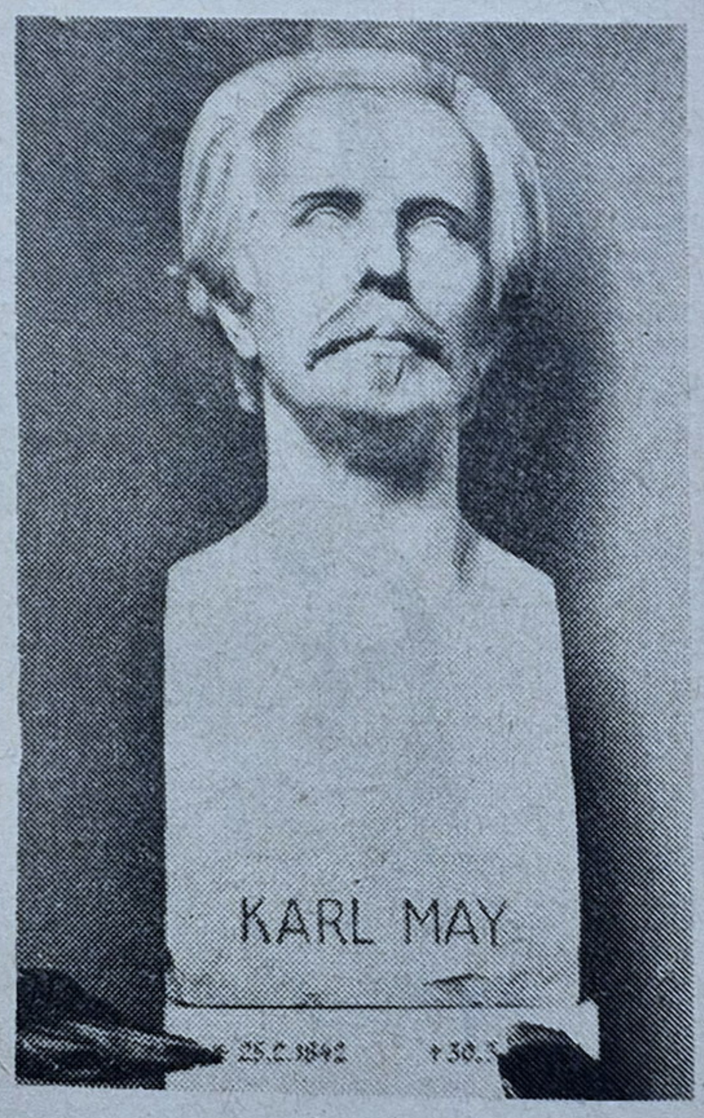
KAROL MAY (ur. 1842 r., zm. 1912 r.), autor słynnej indiańskiej powieści „Winnetou". Jego popiersie znajduje się w Muzeum Indiańskim w Radebeul na przedmieściu Drezna. Stamtąd pochodzi również większość zdjęć i rysunków zamieszczonych w naszej „Małej Księdze Indian". Wykonała je specjalnie dla Was ekipa redakcyjna „Świata Młodych".